

– Biegiem do domu, natychmiast! – Mama Nikoli zgasła papierosa na poręczy barierki i weszła do domu, zamykając za sobą drzwi balkonowe.

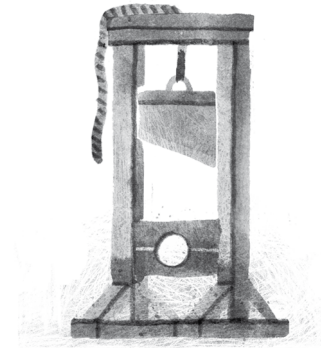
Nikola pobiegła tak szybko, na ile pozwalało jej mokre ubranie. Zatrzymała się jednak przed klatką i pomachała Jowance wiaderkiem:

– To ceść!

– Cześć – mruknęła pod nosem Jowanka.

Rozejrzała się po osiedlu. Ani żywej duszy. Jakbym komuś opowiedziała, nikt by mi nie uwierzył – pomyślała. – Jeżeli jestem trochę bohaterką, to szkoda, że nikt tego nie widział.

Mylilią się jednak. Gdyby wysiliła wzrok, zobaczyłaby w oddali, w dzikim sadzie u stóp wzgórza, sylwetki trzech chłopców, obserwujących uważnie całe zajście.



Rozdział 2

*w którym dowiadujemy się, do czego służy gilotyna,
a do czego uprzejma sąsiadka*

– Wiking, nie śpij! Pilnuj dzieci! – zawołał Franek do wygrzewającego się w sierpniowym słońcu kudłatego psa. Wiking otworzył jedno oko, ziewnął, aż mu zatrzeszczały szczęki, podniósł się posłusznie i potruchtał za Zuzką i Patysiem. Franek wyciągnął się na trawie obok kolegi. – Wawrzek, rozwiąż ich, Wiking to najlepsza strażniczka.

– Nie ma mowy. Już raz ich szukaliśmy cały dzień na łąkach, w tych wysokich trawach. Mama zabroniła mi wychodzić z domu, jak jestem z nimi sam. Ale weź, dziś, jak w końcu wyszło to słońce, tobym chyba zwariował. Te sznury to jedyny sposób. Na szczęście zaraz ich odprowadzam. Przychodzi babcia z nimi siedzieć, to będę wolny. Możemy coś porobić.

Tomaszek podszedł do Wikinga i zaczął go głaskać.

– Czemu właściwie mówicie na nią Wiking? Przecież to nie chłopak.

– Tata tak wymyślił. Przez tę rudą brodę – wyjaśnił Franek. – Mama się trochę wkurzała, bo to jej suka i tak na serio nazywa się Wiki. Ma ją już bardzo długo, dłużej niż tatę. Ale już ją przyzwyczailiśmy. Mama mówi Wiki, a my – Wiking. A Wiking wie, o co nam chodzi, bo to najmądrzejszy pies na świecie – dodał Franek, a Wiking w odpowiedzi szczeknęła i pomachała ogonem.

– Kiedyś bałem się psów. – Tomaszek usiadł na dużym kamieniu obok kolegów. – Właściwie ciągle się boję, nawet małych. Wszyscy mówią, że pies czuje, co ktoś myśli, i ja, jak widzę psa, to od razu myślę, że on poczuje, co ja myślę, to się staram pomyśleć o czymś, co mu się spodoba, ale myślę tylko o tym, że się boję, i wtedy boję się jeszcze bardziej, bo wiem, że on czuje, że ja się boję i że zaraz się wnerwi. Tylko Wikinga się nie boję. On... ona się zachowuje tak, jakby jej zupełnie nie obchodziło, co ja myślę, i wtedy nie muszę myśleć, o czym myśleć.

– Bo to najmądrzejszy pies na świecie – z dumą powtórzył Franek. – Mama mówi, że to najlepsza niania i ja się z nią zgadzam. Wszystkie inne nianie są głupie i nie wiem, po co rodzice je w ogóle biorą. Sam z Wikingiem najlepiej się mogę przypilnować.

– Biorą do ciebie niańki? – zdumiał się Wawrzek. – Do takiego starego?

– Taaa – przyznał niechętnie Franek. – Na noc, jak mama ma delegację, a tata nockę w szpitalu. Nie zgadzają się, żebym zostawał sam w domu. Czasem pozwalają mi zostać u dziadka, w starym mieszkaniu.

– Za nic bym nie został z obcą babą – skrzywił się Wawrzek. – Nie wpuściłbym jej do domu i już. Nawet jakby mama się wściekła.

– No ale ty masz babcię – zauważył Tomaszek. – Do nas, do Heniutki, też przychodzi opiekunka, jak mama jest w pracy, a przedszkole zamknięte.

– Dobrze, że mamy naszą Gilotynę – powiedział Franek, patrząc spod przymrużonych powiek pod słońce na starą jabłoń, pod którą leżeli we trójkę.

To miejsce w dzikim sadzie odkrył Franek na spacerze z Wikingiem jeszcze w poprzednie wakacje, parę dni po zakończeniu roku szkolnego. Chłopcy szukali wtedy miejsca na bazę, do zabawy i knucia przygód. Tata czytał Frankowi codziennie *Przygody Tomka Sawyera* i można śmiało powiedzieć, że Franek zwariował na punkcie tej książki. Tak przynajmniej mówił Wawrzek.

Zwariowanie Franka polegało na tym, że nauczył się czytać tak szybko, jak mógł, żeby samemu czytać w kółko o Tomku Sawyerze. Czytał więc sam sobie, czytał na głos chłopakom, a kiedy nie czytał, to marzył o przygodach Tomka. Albo opowiadał o przygodach Tomka. Wawrzek i Tomaszek w kółko słuchali o sposobach na brodawki, o tym, jak wspaniale przerażająco może być nocą na cmentarzu, jak uratować życie wdowie, jak wykryć groźnych bandytów, jak znaleźć skarb czy jak w zupełnie nieudny sposób pomalować płot.

W każdym razie uważał, że życie dziewięciolatka w dzisiejszych czasach jest piekielnie nudne i że bardzo trudno o jakąś porządną przygodę. Zwłaszcza kiedy na

każdym kroku ktoś cię pilnuje: jak nie rodzice, to nauczyciele albo babcie, albo w najgorszym wypadku nianie z internetu. Wawrzek też był zdania, że muszą sobie załatwić jakąś porządną przygodę, a Tomaszek, który bał się większości rzeczy, przyznał, że z chłopakami boi się wszystkiego znacznie mniej i chętnie wyknuje z nimi jakąś porządną przygodę.

Dlatego potrzebowali bazy. Bezpiecznej skryjowy, miejsca, w którym nie będą im przeszkadzać dorośli ani obce dzieciaki („ani dzika zwierzyna” – dodawał Tomaszek). Miejsca, gdzie będzie można się zamaskować i skąd da się obserwować całe osiedle („żeby nie przeoczyć żadnej okazji do przygody” – dodawał Franek). Kiedy więc odkryli tę starą jabłoń, wiedzieli od razu, że to miejsce idealne.

Jabłoń miała pochylony gruby pień i tylko jedną, sterzącą w bok gałąź, konar tak mocny, że mogliby na nim siedzieć we trójkę, gdyby Tomaszek mógł wchodzić na drzewa. Tomaszek jednak zajmował zawsze miejsce pod drzewem, na dużym kamieniu, który nazywali Wielką Skałą.

Cała baza od strony wzgórza była osłonięta krzakami malin. Kiedy chłopcy siadali za Wielką Skałą, można było przejść obok i w ogóle ich nie zauważyć. Na szczęście mało kto zachodził w tamte rejony. Posiadacze psów woleli spacerować po łąkach za stawem, po drugiej stronie osiedla.

Z kolei nikt nie lubił sąsiadujących z sadem, opuszczonych ogródków działkowych, gdzie czasem spali bezdomni z miasta albo głośno imprezowała młodzież. Co

jakiś czas płonęła tam jakaś altanka. Nie było to przyjemne miejsce, ale odstraszało intruzów od sadu i bazy pod Gilotyną.

Nazwę wymyślił Wawrzek.

– Co to gilotyna? – zapytał wtedy Tomaszek.

– Nie wiesz? – z lekka pogardliwie zdziwił się Wawrzek. – W dawnych czasach na gilotynach wieszali ludzi. Różnych strasznych przestępców. Dyndali tak potem przy każdej pogodzie, aż odpadało z nich całe mięso i zostawały same kości. I te kości grzechotały na wietrze i straszyły innych przestępców, żeby nie robili przestępstw, bo mogą skończyć jak te kości. Na gilotynach.

– Coś ci się chyba potęgowało – z przekąsem wtrącił Franek. – Na gilotynach ścinało się głowy, a przestępców to się wieszało na szubienicach.

– Ta, akurat – wywrócił oczami Wawrzek. – Głowy to ścinał kat w czerwonej masce taką grubą siekierą.

– Toporem – poprawił go Tomaszek.

– No mówię, toporem – powiedział Wawrzek.

– Dobra, ale potem przyszła rewolucja i kaci mieli tyle do ścinania, że już nie wyrabiali i wymyślili maszyny do ścinania, które nazwali gilotynami. Widziałem z tatą na Discovery. Mogli ścinać, ile chcieli, jak w jakiejś fabryce ścinania normalnie – wkładasz głowę w gilotynę, puszczasz sznurek – chlast! – i po tobie – emocjonował się Franek.

– Pewnie wymyślili tę nazwę, bo spotkali Damiana Radtke i jego supergila! – zachichotał Wawrzek.

– Taaaak, ha, ha, ha! – śmiał się Franek i zaczął skandować: – Da-mian-Radtke-chodząca-gilo-tyna-każdego-może-strzelić-z-gila!

– Chlast! I po tobie, ha, ha, ha! Gilo-tyna, ha, ha! – rechotał Wawrzek na całego.

Tomaszek nic nie mówił, tylko śmiał się po swojemu, zupełnie cicho, samymi ramionami i brzuchem.

Kiedy się uspokoili, postanowili, że chociaż drzewo wygląda jak szubienica, to nazwą je Gilotyną, bo po pierwsze, to całkiem ładna nazwa, a po drugie, dodatkowo – zmyła. Gdyby nazwali ją Szubienicą, ktoś mógłby się domyślić, o jakim miejscu rozmawiają, i je odkryć.

Później znaleźli jeszcze wyrzuconego za ogrodzenie ogródków działkowych starego stracha na wróble i zawiesili na sznurze, na samym krańcu konaru jabłoni. Strach dyndał na gałęzi, poruszany wiatrem, w dodatku trochę skrzypiał. Trudno sobie wyobrazić bardziej upiorny odstraszacz na dorosłych, obce dzieciaki czy dziką zwierzynę.



Od tamtej pory minął rok i chociaż nie przeżyli jeszcze żadnej porządnej przygody, spotykali się tam, kiedy tylko mogli, nawet zimą, żeby bawić się i knuć przygody. Albo obserwować osiedle. Jak dziś.

– Dała radę, nie? – zagadnął Tomaszek.

– Kto?

– No, ta nowa, pomarańczowa.

– Tak, super – przyznał Franek. – Widzieliście, jak się rzuciła na błoto? Jak komandos.

– Albo jak wyciągała tę małą? Jak się czołgała? Jak Wonder Woman – dodał Wawrzek.

– Z tymi włosami? Raczej Spider-Woman.

– Ej, może serio ma supermoc?

– A może jest jakąś agentką w przebraniu dzieciaka?

– Nie – odezwał się znowu Tomaszek. – Ja myślę, że ona jest normalna, tylko odważna. I może ma dobre serce.

– Może i tak – odparł Franek po chwili zastanowienia.

– Ale – uniósł się na łokciu – najgorsze, że znowu ominęła nas porządna przygoda. Zaraz skończą się wakacje, coś musimy wymyślić.

– Teraz to ja muszę zaprowadzić dzieciaki do domu – poderwał się Wawrzek i zaczął przyciągać sznurkami Zuzkę i Patysia z kieszeniami pełnymi poobijanych i nadgniłych jabłek. – Poczekacie tu? – zapytał kolegów.

– Mam inny pomysł – powiedział Franek. – Pojedziemy do mojego dziadka.

– Autobusem? – niepewnie zapytał Tomaszek.

– Tak, sto siedemdziesiąt pięć. Mam pełno biletów w domu, na wypadek, gdybym musiał jechać do dziadka. Znam drogę na pamięć i umiem uważać. To nic niebezpiecznego.

– Mama by się wściekła, jakby się dowiedziała – zmarszczył nos Wawrzek. – No to nie będę jej nic gadał. Po prostu będziemy uważać, a potem to już wrócimy.

Tomaszek nie był zachwycony, bo nie lubił jeździć autobusem. Ale nie lubił też jeździć tramwajem ani pociągiem, a już najmniej samochodem. Bardzo też nie lubił być w innych, obcych miejscach. Za to bardzo, ale to bardzo lubił spędzać czas ze swoimi kolegami. Więc zapytał tylko:

– To za ile minut na tym przystanku?



Jowanka weszła do domu, zrzuciła kalosze i pomaszrowała do kuchni, nie bacząc na ścieżkę błotnistych śladów, jakie za sobą zostawiła. Strasznie zgłodniała przy tym ratowaniu. Zresztą przecież jeszcze nie jadła śniadania. Zajrzała do lodówki. Na środku leżał suchy plasterek żółtego sera i jedna zwiędła marchewka. Mleka w ogóle nie było. Jowanka przewróciła oczami i zatrzasnęła lodówkę.

Sięgnęła po karton płatków kukurydzianych, który stał na blacie, i zagrzechotała nim koło ucha.

– Mało – westchnęła i bez namysłu przechyliła pudełko, wsypując sobie resztkę płatków prosto do buzi. Cisnęła karton z powrotem na blat i mieląc hałaśliwie płatki zębami, wróciła do przedpokoju.

Otworzyła niewielkie drewniane pudełko stojące pod lustrem i odetchnęła z ulgą. Na szczęście tym razem tata nie zapomniał zostawić pieniędzy na drobne zakupy. Wyłowiła dziesięć złotych i znowu włożyła kalosze. Przy okazji skrzywiła się, widząc swoje ślady.

– Sprzątnę, sprzątnę – zapewniła się półgłosem. – Tylko niech coś może zjem nareszcie.

Między blokami przy ulicy Różowej stał niewielki pawilonik. Był tam sklepik ze wszystkim. Jowanka zajrzała przez okno, żeby sprawdzić, kto stoi za ladą. Nie lubiła właścicielki, niemiłej kobiety. Za to przyjemnie robiło się zakupy, kiedy, jak dziś, obsługiwał jej mąż, energiczny pan z wąsami. Zawsze błyskawicznie podawał to, o co prosiła, i nie marnował czasu na wścibskie spytki.

– Poproszę sok pomarańczowy i drożdżówek za dychę – powiedziała Jowanka, kładąc na ladzie dwie monety.

– Proszysz-upszz... i lizaka reszty, pasuje?

– Pasuje – kiwnęła głową Jowanka i zgarnęła swoje zakupy. – Do widzenia! – zawołała w progu i pognęła z powrotem. W klatce zatrzymała się jednak przy skrzynce na listy. A może tata nie podał mamie adresu? – pomyślała, zaglądając przez dziurki kasetki z numerem osiem.

Ktoś wszedł do klatki, Jowanka obejrzała się przez ramię.

– O, tak krótko pani pracuje? Fajnie – powiedziała do Renaty, która znowu minęła ją szybkim krokiem.

– Wróciłam tylko po dokumenty – mruknęła pod nosem sąsiadka. Spojrzała na Jowankę i jej oczy się rozszerzyły. – Dziecko, co się stało, jak ty wyglądasz?!

Jowanka spokojnie spojrzała w dół na swoją bluzę i spodnie.

– Wywaliłam się w błoto – odpowiedziała wymijająco. – Wypierze się, tylko tata musi w końcu podłączyć pralkę.

Renata chwilę patrzyła na nią bezradnie.

– Może chodź ze mną – zaproponowała w końcu. – Coś z tym zrobimy. I tak już jestem spóźniona.

W mieszkaniu Renaty było ładnie. Czysto i tak po babsku, jakieś kwiatki, poduszki, firanki, lustra. I pachniało ładnie. A w fotelu spał ogromny kot, biały i niemożliwie futrzasty.

– Jaki wielki! Mogę go pogłaskać? Jakie ma imię?

– To Herbert. Straszny śpioch. – Renata spojrzała na kota czule. – Chodźmy do łazienki.

Mokrym ręcznikiem wytarła plamy z błota na bluzie i spodniach Jowanki. Niewiele to dało. Poleciała dziewczynce umyć buzię i ręce, a sama poszła przygotować herbatę.

– Wypij choć parę łyków. Nie jest zbyt ciepło, a ty cała przemokłaś.

– Mam dwie drożdżówki. Zje pani drożdżówkę? Dobra, świeża – zaproponowała Jowanka.

– Nie, dziękuję. – Renata niechętnie spojrzała na wciśnięte w worek lukrowane buły. – Ale ty zjedz sobie, proszę – dodała, zerkając dyskretnie na zegarek.

Jowance nie trzeba było dwa razy powtarzać. Nie miała w zwyczaju zadawać się z obcymi, no ale przecież już się zapoznały. Poza tym była bardzo głodna, a słyszała, że z głodu to można nawet zemdleć. Była na tyle dobrze wychowana, żeby nie mdleć u kogoś na pierwszej wizycie. Co jak co, ale do tego nie mogła dopuścić. Wpałaszowała obie drożdżówki ze smakiem, umilając Renacie czas pogawędką.

Właściwie tylko Jowanka mówiła, ale nie miała nic przeciwko temu. Od dwóch tygodni nie było zbyt wielu

okazji do pogawędek. Tata nigdy nie był rozmowny, a poza tym ciągle siedział z nosem w komputerze.

Opowiedziała więc o swoim starym mieszkaniu we Wrzeszczu, o budynku, który już jest pewnie rozebrany, bo strasznie się sypał i wszyscy musieli się wyprowadzić, opowiedziała o starej szkole, opowiedziała o mamie, która wyjechała do Irlandii do roboty dawno temu i odzywała się coraz rzadziej, a ostatnio w ogóle, opowiedziała, że najbardziej lubi swój rower i że ma nadzieję, że spotka w nowej szkole fajne koleżanki. Potem otrzepała dokładnie okruszki z obłoconej bluzy.

– Może mnie też pani odwiedzi na herbatę, dobra? Tylko jak posprzątam – zastrzegła sobie.

Pogłaskała Herberta i wróciła do domu.